Świat
Ilustrowany dodatek tygodniowy
Nr 1 Głosu Wielkopolskiego

POZNAŃ, 4 I 1948 r. ROK III.

Doc. Dr KAZIMIERZ KAPITAŃCZYK

Chemia dnia jutrzejszego

„Ludzie nie mający pojęcia o wiedzy lub ci, których napawa ona niejasnym lękiem, zadawalają się niekiedy jej pozorami. Wydaje im się sucha i odpychająca. Gdyby jednak, poznawszy ją bliżej, zdołali ją lepiej ocenić, dowiedzieliby się, iż aby stworzyć dzieło trwałe, uczony musi mieć niemniej bujną wyobraźnię, niż artysta lub poeta. Dzieło naukowe, tak samo jak dzieło sztuki, wywołuje obrazy, ma też te same prawa do piękna. Lecz aby je należycie ocenić, należy się przedtem poddać długim i nużącym przygotowaniom."

Słowa powyższe, skierowane zdawało by się pod adresem świata humanistycznego, a które wypowiada znakomity Georges Urbain w swych „Podstawach naukowych chemii", mają niewątpliwie znaczenie szersze i z pewną słusznością mogą być zastosowane i do niektórych przedstawicieli nauk ścisłych, którym brak wyobraźni i polotu nie pozwala widzieć rzeczy pięknych i żywych — a zmusza do talmudyzmu. Tacy to uczeni prawdopodobnie nie czytywali filozofów, a to tym pewniej, że odnoszą się oni do filozofii z najwyższą pogardą. W myśl prawa wzajemności niektórzy filozofowie głoszą co pewien czas bankructwo wiedzy.

Na tych próbach dyskredytowania się, nauka może tylko ucierpieć. Zresztą gdyby nie zastąpiono rzeczywistości niedostępnym ideałom, wiedzy oszczędzono by bezpłodnej dyskusji na temat kompetencji i pierwszeństwa. W przyszłości wiedza winna być przedstawiona w świetle skromniejszym niż dawniej. Nie umniejszy to jej potęgi, pożytku ani piękna. Poza tym uczeni

...„Społeczne udostępnienie owoców pracy" (plastyki)

nie są wcale apodyktyczni mówią w trybie warunkowym i z wszelkimi zastrzeżeniami. Są na ogół tak nieśmiali, że osoby mało okrzesane nie mogą zdobyć się na to, aby traktować ich jak ludzi czynu.

Grabarze mądrości i talmudyści

głosili przed mniej więcej 50 laty, że chemia jako wiedza osiągnęła swój wiek dojrzały. W zakresie chemii organicznej otrzymywanie nowych połączeń miało nastręczać większe trudności i prowadzić do pomnażania foliałów, podręczników encyklopedycznych. Chemia nieorganiczna zupełnie już pozbawiona być miała tajemnic. Układ okresowy pierwiastków i nauka o wartościowości, czynić miały z chemii prosty problem rachunkowy.

Tymczasem rzeczywistość współczesna zmusza nas do zrezygnowania z tego stanowiska. Chemia organiczna wkroczyła w dziedzinę wielkich cząsteczek, w królestwo żywic i gum, celulozy i ciał białkowych. Perspektywy są ogromne. Zbliżamy się w tej dziedzinie do zrozumienia i wyjaśnienia przejawów życiowych, przynajmniej od strony jego materialnego oblicza. Chemia nieorganiczna dawno już zapomniała o prymitywnych sprawach wartościowości. Między innymi przekonano się, że istnieje długi szereg połączeń międzymetalicznych, o których chemikom się nie śniło. A do metali zaliczamy bez mała 80 pierwiastków. Na terenie chemii nieorganicznej zbliżamy się do momentu, kiedy naczelnym motywem produkcji będzie dostarczanie materiałów i tworzyw o z góry określonych właściwościach i z góry obliczonych. Inżynierowie podadzą swe wymagania a chemicy będą je realizować, będą produkować według przepisanych wymagań natury mechanicznej, elektrycznej i chemicznej.

Uzupełnianie luk w zakresie surowców

jest głównym celem chemii. Motyw ten jest powszechnie uznany i rola chemii w tym względzie odpowiednio honorowana. Poza tym chemik przetwarza rzeczy pośledniejsze w przedmioty gatunkowo wyższe. Jest to zresztą odwieczne powołanie chemii. Piękno staje się dzięki chemii własnością ogółu. Chemia syntezuje kamienie szlachetne, zresztą nie tylko dla celów ozdobnych. Udostępniła szaremu człowiekowi wszelkie barwy i miękkość oraz blask jedwabiu. Przy pomocy sztucznych mas imituje najwytworniejsze materiały, rzadkie drewna, masę perłową, kość słoniową, wreszcie uwielokrotnia arcydzieła sztuki w pełni ich blasku i w materiale trwalszym od piramid.

Ponad te romantyczne i społeczne motywy wybija się jednak walka o produkcję rolną i surowce strategiczne. Od wieków ludzi straszono głodem a kazano wierzyć w cuda. Tymczasem nie wiedza jest przyczyną klęski, tym bardziej, że ziemia nigdy nie była przeludniona i daleko jej do tego. Ludzie złej woli głoszą postulat ograniczenia liczby żołądków przez ograniczenie przyrostu. Chemia zabrała się do zagadnienia od innej strony. Idei ograniczenia żołądków przeciwstawiła ideę pomnożenia chleba. Mędrkowaniu niektórych socjologów i ekonomistów przeciwstawiła ideę pomnożenia chleba. Mędrizmowi polityków, monopolizujących naturalne źródła nawozów sztucznych przeciwstawiono

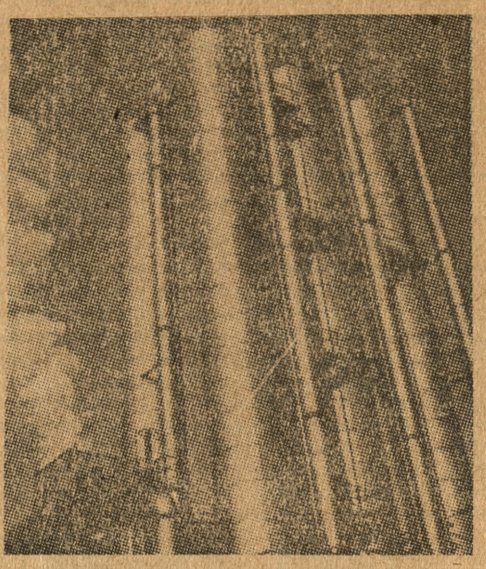

...„gigantyczność aparatur produkcyjnych" (płóczki benzolowe w koksowni)

produkcję przemysłu chemicznego, który dostarcza rolnictwu np. 12 worków 100-kilogramowych sztucznej saletry na minutę.

Walka o zdrowie

to dalszy rozdział chemicznej pracy dla dobra ludzkości. Jest on tak wspaniały i rozległy, że najskromniejsze jego omówienie rozsadziło by szczupłe ramy felietonu. Tysiące skutecznych leków, będących często owocem wielkiej chemicznej pracowitości, są najlepszą legitymacją chemii przed sądem historii.

Zresztą wszystkie te rozważania są bardzo powierzchowne i nie dają należytego wyobrażenia o nadchodzących czasach, w których chemia odegrać ma i niewątpliwie odegra rolę co najmniej pierwszorzędną.

Trzeba by mówić chociażby o potężnej chemii węgla i wszystkiego co z nią związane. O smole pogazowej, z której chemicy wydobywają zaklęte w niej barwy tęczy i błogosławieństwo promienia słonecznego. Trudno nie wspomnieć o zagadnieniu sztucznych paliw i plastyków. Setki tysięcy związków i tyleż ich zastosowań. Nowoczesna chemia acetylenu jest poematem wiedzy i pomysłowości. Niepozorny ten gaz, otrzymywany z karbidu i wody, łączy z jednej strony pospolite surowce z których powstaje karbid (koks i wapno) z wysoko cennymi swoimi pochodnymi, do których zaliczyć trzeba: aldehyd octowy, kwas octowy, alkohol etylowy, bezwodnik kwasu octowego, dalej syntetyczny kauczuk, masy plastyczne itd. itd.

Nadchodzący dzień chemiczny

realizuje się. Prostota surowców: powietrze, woda, węgiel, wapno, sól kuchenna; gigantyczność aparatur i wspaniały rozmach warsztatów fabrycznych; społeczne udostępnienie owoców pracy ludzi nauki i ludzi szarych; błogosławieństwo dobrej myśli i rzetelnej pracy.

Wiedza jest potężna. Była ongiś tajemnicą władzy kapłanów egipskich. Z tajemnic kapłańskich wyrosła moc zdobywców. Wiedzą posługują się ci, którzy najbardziej jej potrzebują. Tymczasem nowe osiągnięcia chemiczne przesuwają stosunki potęg narodów i państw bezszelestnie i niezauważalnie, zamieniając wczorajsze źródła władzy na atuty wolności w dniu jutrzejszym.

Potęga wiedzy to nie jest to samo co władza. Władzą zajmują się inni — ludzie myślący kategoriami strategicznymi i o tragicznych często owocach swej pracy. Wiedza to służba sprawie narodu i ludzkości. Jest to wielka służba, wielce często nadużywana. Chemia jest wspaniałą wiedzą i służy dobrze ludzkości.

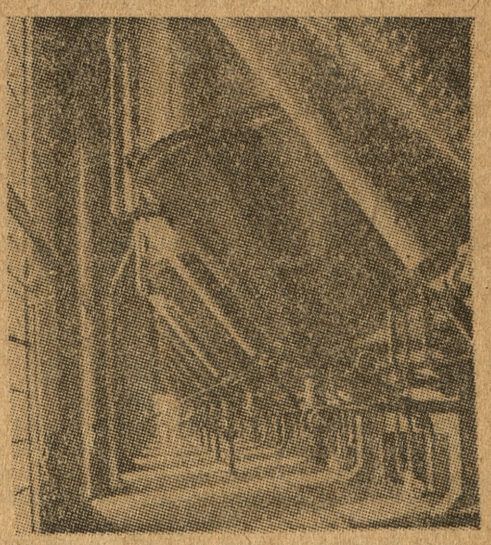

...„Wspaniały rozmach warsztatów fabrycznych" (oczyszczanie destylowanych olei mineralnych)

Dr STEFAN WIERZBIŃSKI

Czy istnieje życie na innych planetach?

Zagadnienie, czy na innych — poza Ziemią — ciałach niebieskich istnieje życie organiczne, od dawna fascynuje mieszkańców naszej planety. Jest ono powodem powstawania pseudonaukowych opisów życia na innych planetach i pojawiania się notatek w prasie, jakoby astronomowie na podstawie obserwacyj stwierdzili istnienie życia na Marsie. Na pytanie: „Czy na innych ciałach niebieskich istnieje życie organiczne?" odpowiedzieć twierdząco nie można, gdyż z obserwacyj nie znamy żadnych danych z których można by z całą pewnością wnioskować o istnieniu życia poza Ziemią. Obserwacje astronomiczne mogą tylko stwierdzić, czy gdziekolwiek we wszechświecie istnieją odpowiednie warunki fizyczne, w których mogłoby istnieć życie organiczne.

Wiemy, że życie organiczne może istnieć tylko w pewnych temperaturach, nie za niskich i nie za wysokich, oraz że wymaga ono — poza innymi pierwiastkami i związkami chemicznymi — tlenu, wody i dwutlenku węgla. Nie może więc życie istnieć w atmosferach, składających się z gazów trujących, jak np. tlenek węgla, chlor, amoniak czy metan.

Na gwiazdach, będących rozrzażonymi kulami gazowymi, których temperatura na powierzchni wynosi od 1300 do 50000 i więcej stopni, życie organiczne jest niemożliwe. Możemy więc poszukiwać warunków sprzyjających istnieniu życia tylko w naszym systemie planetarnym. Oczywiście na samym **Słońcu,** będącym przeciętną gwiazdą o temperaturze powierzchniowej 5700° C, życie również jest wykluczone. Musimy więc ograniczyć się tylko do badania Księżyca i planet.

Na pustynnym **Księżycu** ziemskim brak zupełnie wody i atmosfery, a poza tym różnice temperatur są tam znaczne, gdyż w czasie południa księżycowego powierzchnia satelity rozgrzewa się do + 100° C, podczas zaś nocy księżycowej wystyga do — 160° C. Życie organiczne jest więc na Księżycu również niemożliwe. Na innych księżycach (w liczbie 28) należących do naszego systemu planetarnego życie jest prawdopodobnie również wykluczone, gdyż są to pustynne globy podobne do naszego Księżyca ziemskiego.

Najbliższą Słońca planetą i zarazem najmniejszą z dziewięciu weilkich planet jest **Merkury.** Jest to przypuszczalnie taki sam pustynny, skalisty glob, jak nasz Księżyc, i prawdopodobnie pozbawiony atmosfery. Następna planeta, **Wenus,** okrąża Słońce w średniej odległości wynoszącej 108 milionów kilometrów. Jest ona ze wszystkich planet rozmiarami i masą najbardziej zbliżona do Ziemi, średnica jej bowiem wynosi 0,96 średnicy Ziemi, czyli 12400 km, masa zaś 0,83 masy ziemskiej. Spowita jest ona gęstymi chmurami, a atmosfera jej składa się z dwutlenku węgla i wydaje się być pozbawiona tlenu i pary wodnej. Temperatura zewnętrznych warstw chmur wynosi + 50° C i prawdopodobnie na powierzchni planety jest o wiele wyższą. Najprawdopodobniej Wenus znajduje się obecnie w takim stadium, w jakim Ziemia znajdowała się przed wielu milionami lat.

Mars, którego średnia odległość od Słońca wynosi 228 milionów kilometrów, jest globem

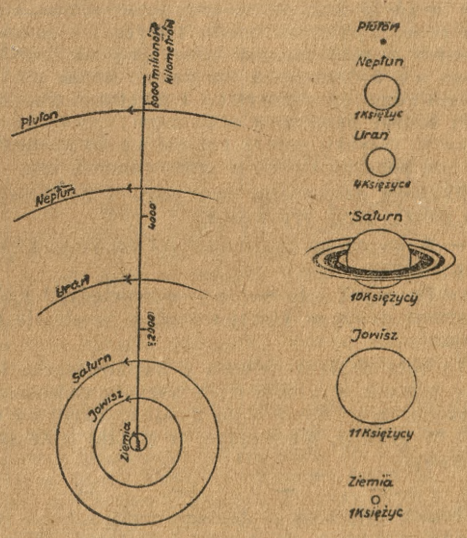

Rys.2. Orbity pozostałych pięciu planet; wielkości planet są podane w stosunku do wielkości Ziemi.

niewielkim o średnicy równej 0,53 średnicy Ziemi, czyli 6770 km, i masie wynoszącej zaledwie 0,11 masy ziemskiej. Obiega on Słońce w okresie bliskim 2 lat ziemskich. Na Marsie wyraźnie występują pory roku, które uwidaczniają się tym, że bieguny Marsa podczas tamtejszej zimy pokrywają się białymi plamami, zanikającymi w lecie. Atmosfera Marsa jest o wiele więcej rozrzedzona, aniżeli atmosfera ziemska na szczytach wysokich gór, i jest znacznie uboższa w tlen i parę wodną, niż nasze powietrze. Również temperatury na powierzchni Marsa są na ogół niskie; w strefie równikowej Marsa panują mniej więcej takie stosunki klimatyczne jak na północnej Syberii. W r. 1877 astronom włoski, Schiaparelli, doniósł, że na powierzchni Marsa występują delikatne linie, nazwane przez niego „kanałami". Odkrycie to nabrało dużego rozgłosu i rzucono domysł, że są to kanały irygacyjne, zbudowane przez istoty zamieszkujące tę planetę. Późniejsze badania wykazały, że „kanały" te są złudzeniem optycznym polegającym na tym, że drobne, ciemniejsze punkty na tle jaśniejszym, słabo widoczne a znajdujące się na granicy widzialności wzroku, oko ludzkie łączy podświadomie w linie ciągłe. Dostrzegane na powierzchni Marsa większe, jaśniejsze i ciemniejsze plamy rozmaicie są tłumaczone. Jedni uważają je za kontynenty i morza, inni zaś za jałowe pustynie i pokryte roślinnością tereny. Prawdopodobnie Mars znajduje się obecnie w takim stadium, w jakim Ziemia znajdzie się za wiele milionów lat.

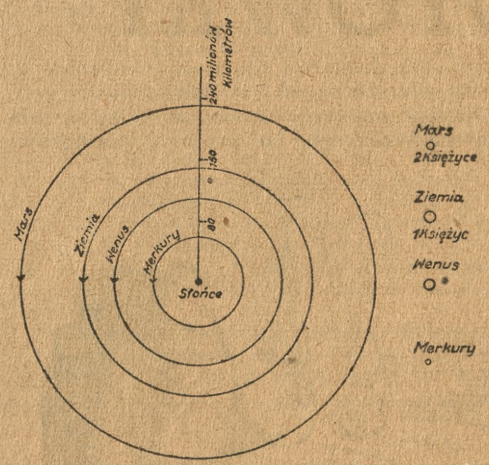

Rys.1. Orbity pierwszych 4-ech planet; wielkości planet są podane w stosunku do wielkości Ziemi.

Największą ze wszystkich planet jest **Jowisz.** Jest on odległy od Słońca o 778 milionów kilometrów, a średnica jego jest 11 razy większa od średnicy Ziemi. Jest on otulony gęstą atmosferą, w skład której wchodzą amoniak i metan. Jest prawdopodobne, że Jowisz nie posiada jeszcze stałej, skrzepłej skorupy, lecz jedynie gorące jądro otoczone gęstymi parami i gazami. Następne planety, **Saturn,** mający charakterystyczne pierścienie, **Uran** i **Neptun** mają atmosfery o podobnym składzie, jak atmosfera Jowisza i prawdopodobnie nie posiadają jeszcze stałej skorupy. O właściwościach fizycznych **Plutona,** ostatniej i najdalszej planety, odległej od Słońca o 5900 milionów kilometrów, nic pewnego nie wiemy.

Oprócz dziewięciu dużych planet i ich księżyców, obiega Słońce około 1500 małych planetek, mających średnice niewielkie, od kilku do kilkuset kilometrów. Są to pustynne skaliste globy pozbawione zupełnie atmosfery.

Z powyższego przeglądu własności fizycznych planet wynika, że jedynie **Wenus** i **Mars** posiadają warunki fizyczne, w których w pewnych postaciach może istnieć życie organiczne. Jednakże, czy na planetach tych życie istnieje, nie wiemy i tego nie stwierdzimy przy pomocy obserwacyj astronomicznych, nawet przy użyciu najpotężniejszych nowoczesnych lunet. Czy na innych — poza Ziemią — ciałach niebieskich, należących do naszego systemu słonecznego, istnieje życie organiczne będziemy dopiero mogli stwierdzić, gdy zostaną zrealizowane podróże międzyplanetarne. Natomiast, czy gdziekolwiek — poza naszym systemem słonecznym — istnieje życie organiczne, tego nie wiemy i nigdy wiedzieć nie będziemy, gdyż nigdy nie pokonamy olbrzymich przestrzeni panujących we wszechświecie.

...eka Górnic... 1 egz. dod.

JÓZEF MODRZEJEWSKI

Tradycje budownictwa okrętowego

w ujściu Odry

W Szczecinie następuje odbudowa dwóch stoczni okrętowych „Odra" i „Bałtyk". W pierwszym okresie zajmować się one będą remontem i przebudowaniami jednostek morskich, później rozpoczną budowę polskich statków różnych typów. W związku z tym warto pokrótce przypomnieć sobie kilka faktów z przeszłości, które dziś zapomniane, dawniej były szeroko znane.

Ujście Odry słynęło dawniej z budownictwa okrętowego, którym zajmowali się tzw. korabnicy. Najdawniejsze jednostki słowiańskie były powiększonymi łodziami i przypominały ogólnie znane jednostki Wikingów. Różnica polegała na tym, że zamiast normalnie stosowanego na Północy szczeliwa, dla połączenia klepek pomiędzy sobą, przy pomocy pasków skóry zwierzęcej, lub włókien konopi, konstrukcje słowiańskie były uszczelniane mchem. Następnie dla wiązania klepek z wręgami Słowianie używali wikliny podczas, gdy Wikingowie stosowali wieźbę sznurami konopnymi (stwierdzenia inż. Potyrały).

Niestety z samego ujścia Odry nie mamy żadnych znalezisk. Musimy wobec tego przypatrzeć się kolejno jednostkom skandynawskim i słowiańskim wykopanym na Pomorzu Wschodnim.

Wszystkie obiekty pływające dzielą się już we wczesnym średniowieczu na okręty wojenne i statki handlowe. Zajmijmy się najpierw pierwszymi.

Najwięcej materiału poglądowego dostarcza okręt wykopany w Oseberg (południowa Norwegia). Największa jego długość wynosi 21,45 m, na linii wodnej 19,5 m, największa szerokość — 5 m, zanurzenie 0,72 m. Był wyposażony w piętnaście par wioseł, wiosło do sterowania i maszt z żaglem.

Ogólnie okręty Wikingów do XI wieku są pozbawione pokładu, zbudowane z drzewa i mają dno w przekroju przypominające literę V. Szkielet kadłuba składa się ze stępki wznoszącej się łagodnie ku dziobowi i rufie, która przechodzi w sterczącą pionowo dziobnicę i tylnicę. Do stępki przymocowuje się wręgi (żebra poprzeczne) w równych, jednostronnych odstępach. Wręgi pokrywa się poszyciem. Dno wykłada się deskami podłużnymi.

Jeżeli chodzi o rodzaj wykorzystanego materiału to do budowy szkieletu używano dębiny, do poszycia zrazu plecionej łozy obciągniętej z zewnątrz skórą, później desek sosnowych z tą samą skórą.

Mniej więcej w środku umieszczono maszt sosnowy przymocowany więzią (liną) przednią (z dziobem) i bocznymi (z burtami). Na pionowej rei wciągano prostokątny żagiel.

Wiosła wychodziły na zewnątrz przez kwadratowe otwory. Do kierowania okrętem używano wielkiego wiosła znajdującego się u rufy po prawej burcie. Ilość załogi i żołnierzy morskich wahała się między 50 a 100 ludźmi.

Gdy wszystkie okręty wojenne Północy miały smukłe, piękne linie, wysoką i ostrą część dziobową i rufową, statki handlowe zwane „Knorre" były budowane pełniej, z większym zanurzeniem i zaokrąglonym dziobem. W ten sposób zyskiwały większą pływalność, a traciły na szybkości. Częściej używały żagli, aby uniknąć kosztów utrzymania licznej obsady wioślarskiej. Jedna z pieśni północnych wymienia załogę „knorry" złożoną z 18 ludzi. Statki handlowe ludów skandynawskich były budowane prymitywnie i szybko się zużywały tak, że nie można

Łódź Wikingów

odszukać ich szczątków. Towarzyszyły zespołom wojennym Wikingów jako transportowce wiozące żywność, paszę i wodę słodką na przeciąg 4—6 tygodni.

O jednostkach słowiańskich możemy wnosić na podstawie wykopalisk dokonanych w obrębie Zatoki Gdańskiej. Na wstępie podamy wymiary dwóch okrętów wojennych (znalezisko oruńskie I i III). Pierwszy ma długość 12.76 m, szerokość 2,37 m, zanurzenie w pełnym obciążeniu 0,30 m. Wyporność największa (z zapasami i ludźmi) sięga 2,7 ton, posiada 18 wioseł i załogę złożoną z 20 ludzi. Drugi okręt jest nieco większy bo ma 2,9 ton wyporności i 20 wioseł.

Oba są jednak jednostkami bardzo małymi służącymi do działań w ujściach rzek i na szlakach przed napadami korsarzy. Przytaczamy je jako prototypy, z których rozwinęły się okręty pełnomorskie.

Zachowały się również szczątki czterech statków handlowych odkopanych w Oruni (znalezisko II), Mechlinkach, Chabrowie i Łebie. Pierwszy przedstawia się jako jednostka o długości 11 m, szerokości 2,27 m i zanurzeniu (w pełnym obciążeniu) 0,58 cm. Wypiera 5 ton a nośność wynosi 3,5 tony. Porusza go tylko 4—6 wioseł.

Drugi jest mniejszy natomiast oba ostatnie większe (długość do 13,2 m, szerokość do 3.3 m). Są to zatem również jednostki nieduże, ale dają pewne wyobrażenie o budownictwie słowiańskim, które zdobywało się na daleko większe jednostki, szczególnie budownictwo miast ujścia Odry.

Statki wywoziły już w X wieku konie, produkty leśne, śledzie, miód, wosk, płótna, len, smołę, skóry cielęce, wołowe, bobrowe, wilcze, kozłowe i owcze, solone mięso, piwo, płody rolne itd. Przywoziły zaś głównie wyroby rękodzielnicze, uzbrojenie odzież i ozdoby. Po wprowadzeniu chrześcijaństwa do Polski okazała się konieczność podniesienia splendoru dworu królewskiego. Żegluga zaczęła więc dostarczać drogich materii przetykanych złotem, różnokolorowych sukni i wyrobów ze złota. Przywożono również kielichy, krzyże, naczynia metalowe, wino, oliwę i materiały piśmienne na użytek kościoła. Część ładunków okrętowych szła tranzytem do Czech, Moraw i Łużyc.

W związku z rozwojem floty wojennej Ranowie stworzyli w wiekach XI i XII własny typ okrętu. Nie miał on nadbudówek jak u Danów i nieprzewanego pokładu, który zastępowały półpokłady na dziobie i rufie. Napędu udzielały w dalszym ciągu wiosła i żagiel, kierunku jeszcze wielkie wiosło.

Fragment książki mającej się ukazać wkrótce drukiem nakładu Wydawnictwa Zachodniego

Polacy w Brazylii

Daleki to kraj, Brazylia i większość z nas na ogół mało o nim wie. Pamiętamy, że jest tam kawa, dużo kawy, tak dużo, że podobno trzeba ją workami wrzucać do morza, albo oblewać benzyną i palić.

W tym dalekim kraju mieszka i pracuje dużo polskich obywateli, którzy i czują się i są nierozerwalną częścią naszego społeczeństwa. Polecz za oceanem chleb, którego na próżno szukali czyzną i z wielkim zainteresowaniem i miłością śledzą za rozwojem Polski Ludowej.

Głód i niedostatek wygnał jeszcze za czasów pańszczyzny a potem w przeciągu wielu lat przed pierwszą wojną światową, najbiedniejszych naszych robotników rolnych w świat. Chcieli znaleźć za oceanem chleb, którego napróżno szukali w ówczesnej Polsce. Ponieważ byli rolnikami, nie zatrzymywali się w miastach. Osiedlili się przeważnie w stanach Parama i Rio de Janeiro, w Południowej Ameryce, gdzie bezpłatnie otrzymali nieuprawnione dotychczas ziemie.

W latach późniejszych natomiast synowie i wnukowie tych pierwszych emigrantów polskich przenosili się do dużych miast. Obecnie w takich miastach jak Sant Paulo i Rio de Janeiro, mieszka w każdym ok. 10 tys. Polaków. A na ogół ocenia się liczbę Polaków w Brazylii na 200 tys. (w Argentynie — na 100 tys).

Dużo polskich obywateli w czasach ostatniej wojny ratowało się ucieczką do Brazylii. Byli to ludzie najrozmaitszych kierunków politycznych i najrozmaitszych zawodów. Przybyli do Brazylii fachowcy, kupcy, inteligencja i rzemieślnicy. Niektórym z nich rzetelną pracą udało się wybić.

Różni bankruci sanacyjni, którzy zjawili się w Brazylii, nawet tam chcą między Polonią brazylijską siać zamęt i niezadowolenie. Przez rozpowszechnianie kłamliwej propagandy chcą pozyskać uczciwych ludzi dla swoich własnych interesów. Ale te wpływy ich są małe.

Pierwsze listy z kraju, pisane spracowaną dłonią i krzywymi literami, do krewnych za oceanem, przyniosły wieści o obecnej rzeczywistości polskiej. Na wieczornych pogawędkach, rodacy nasi po raz setny czytali sobie na głos listy otrzymywane z Ojczyzny. Staruszka polska, chłopka ze stanu Sant Paulo, wyjmując fotografię swego wnuka w polskim mundurze oficerskim, płakała z radości: „trzydzieści lat pracowałam, jako wyrobnica w Polsce — wyjechałam w poszukiwaniu lepszego życia, z ciężkim sercem zostawiając tam syna, takiego samego wyrobnika, który nawet marzyć nie mógł o kształceniu swoich dzieci. Teraz w nowej Polsce wnuk mój może się nareszcie uczyć".

Wiadomości o tym, jak w Polsce odbudowuje się kraj — o tym, jak radiofonizuje się wieś i zakłada szkoły, w mig oblatują całą Polonię brazylijską. Głód słowa polskiego, głód prasy jest tak ogromny że każda gazeta jest w obiegu do kompletnego zniszczenia się i jeszcze strzępy jej przechodzą z rąk do rąk.

Dużo Polaków myśli obecnie o tym, aby wrócić do Polski. Nie tylko emigranci z ostatniej wojny, którzy czują, że miejsce ich jest przy odbudowie nowego państwa polskiego. Wraz z przedstawicielami tej ostatniej emigracji, wrócą do Ojczyzny Polacy, którzy opuścili ją po pierwszej wojnie światowej, w okresie pomiędzy 1919 a 1939 rokiem. Ludziom tym dobrze się powodzi w Brazylii, są fachowcami, każdy z nich ma jakiś warsztat pracy, albo sklep. — Chcą jednak wrócić i pracować dla dobra swej Ojczyzny.

Reemigranci oczekują nadejścia wiosny. Dłuższy pobyt w kraju tropikalnym uwrażliwił ich. Boją się polskiej zimy i wolą swój pobyt w kraju rozpocząć w okresie ciepłych dni wiosennych.

Słynny aktor radziecki — W. Drużników

CUD ZŁOTÓWKI

Tego dnia wrócił Bartkowiak do domu w złym humorze. Otwierając izbę rzucił czapkę i kurtkę na nieposłane łóżko, w którym na pół śpiące leżało chore 8-letnie dziecko. Żona jego widząc męża w niehumorze o nic już nie pytała wiedząc z doświadczenia, że nie tylko niczego się nie dowie, ale zadając pytania starego jeszcze bardziej rozdrażni. Jakby nie spostrzegłszy wejścia męża krzątała się w dalszym ciągu po kuchni wydając co piewien czas polecenie w kierunku bawiących się w koło domu czworga dzieci.

Coś nie bardzo kleiło się w rodzinie Bartkowiaków. Niby nikogo o to winić nie było można Stary Walenty robił co mógł. Przed wojną miał dobrą posadę murarza — było wówczas lepiej, niestety kalectwo z czasów okupacji pozbawiło go dobrego zarobku. Na dobitkę złego najstarszy syn na którego ojciec najbardziej liczył, wywieziony przez Niemców w niewiadomym kierunku ani nie wraca ani nie daje o sobie znać. Tymczasem Walenty nie posiadając innego zawodu nie miał stałego źródła zarobku. Dorywcze i bardzo rzadkie wpływy gotówki za jakieś posługi nie wystarczały na pokrycie wymogów rodziny składającej się z 7 osób.

Z tragicznej sytuacji zdawał sobie stary Walenty sprawę. Położenie stawało się tym bardziej krytyczne z uwagi na zbliżającą się zimę. Tymczasem w piwnicy nie było węgla, perek ani kapusty.

Włócząc się po ulicach bez celu w poszukiwaniu czegoś, czego się nie znajdzie obserwował zazdrośnie innych, którzy we wozach lub wóznach wieźli artykuły jemu tak bardzo konieczne.

Tak dumając, stary nagle wstał i nerwowo zaczął chodzić po izbie. Jakoś i tego wnet zaniechał potrącając co chwilę o zawadzający przedmiot. Usiadł ponownie, wyciągnął kartkę zabrudzonego papieru i począł na niej coś pisać. Lecz i to zajęcie nie uspokoiło jego wzburzonych myśli, bo kartkę zmiąwszy wyrzucił. Powolnym ruchem sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął z niej kawałek niedopalonego papierosa i otoczywszy się dymem tytoniu posępnie dalej dumał.

— Przestań tak medytować! — rzuciła w pewnej chwili żona — głową muru nie przebijesz.

Stary jakby nie słysząc rzuconej uwagi milczał uporczywie dalej, czym zachęcona żona ciągnęła: Skocz-no lepiej jutro do tej doktorowej przy ul. Krótkiej. Słyszałam, że potrzebuje chłopa do uporządkowania ogrodu i ogacenia klombu i jakichś tam jeszcze innych wypomóżek. Może cię weźmie. Za robotę nie bierz pieniędzy tylko poproś o trochę węgla lub perek. Jakoś tam będzie! — wszystko w ręku Boga, dokończyła z westchnieniem.

Walenty na słowo Bóg popatrzył na żonę, wyrzucił na ziemię niedopałek papierosa i nic nie mówiąc zaczął się ubierać.

— Gdzie idziesz? — rzuciła trwożnie.

— Wrócę wnet! — mruknął w odpowiedzi.

Nic nie powiedziała, tylko cicho usiadła w kącie izby zabierając się do łatania już i tak dziesięć razy sporządzanych spodni średniego syna.

Było coś około 9 gdy w odwiedziny przyszedł sąsiad Kaczmarek. Nie zastawszy Walentego w domu postanowił na niego poczekać, gdyż jak się zwierzył ma coś ważnego do powiedzenia.

— A co takiego? Praca? — zapytała ciekawie.

— Et, nic dla bab — odpowiedział filuternie. Nagabywany jednak o odkrycie tajemnicy przyznał, że nie o pracę chodzi, ale o coś, co pozwoli im przynajmniej zimę spędzić spokojnie. Wicie sąsiadko — zaczął — trzeba aby wasz stary zgłosił się do Miejskiego Komitetu Opieki Społecznej. Tam jest tzw. Akcja Pomocy Zimowej. Niech poprosi o jakąś zapomogę, a na pewno mu jej nie odmówią. Boć przecież jest kaliką, przez roboty, ma nieletnie dzieciaki i was chorowitą na utrzymaniu. Tutaj począł szeroko opowiadać co słyszał o tej akcji, że sam widział jak inni do domu przywozili pyrki, węgiel i inne rzeczy. Niektórzy otrzymali nawet odzież. Przecież stary Fikus z naprzeciwka — znacie go pewnie sąsiadko — dostał oprócz pyrów i węgla jeszcze coś do jodła i kupę lumpów dla swoich dzieciaków — zakończył opowiadanie.

Do serca Małgorzaty wpłynął nowy promień nadziei. Wnet jednak zagasł.

— Nie, to nie dla nas — rzekła. Mój stary nie pójdzie, on będzie się wstydził. Powie, że on nie żebrak — już ja go znam. Ale możebyście sąsiedzie poczekali aż mój wróci. Boże! co bym dała za to żebyście go tak zdołali przekonać!

Minęły jednak dwie godziny jak gospodarz wrócił do domu. Widocznie znów nic nie załatwił, bo zły był jak przedtem i od proga mruknąwszy — uszykuj jeść — niedbałym ruchem zrzucił kurtkę i czapkę na stojące obok krzesło. Teraz dopiero zauważył obecność gościa siedzącego trochę w cieniu. Coś jakby spodziewając się jego przybycia przywitał go sucho i o nic nie pytając usiadł. Kaczmarek niezrażony takim niegościnnym przyjęciem Bartkowiaka, zaczął opowiadać o celu swej wizyty. Z początku jakiś błysk zainteresowania odbił się w oczach siedzącego, rychło jednak ustąpił dawnej zadumie Nie zważał jednak na to poczciwy sąsiad i prawił dalej. Kiedy powiedział, że inni też dostawają, że będą na zimę jednak coś mieć, przerwał dalsze wywody Kaczmarka i powiedział:

— Inni, to nie ja. Ja żebrać ani skamlać panów o łaskę nie będę. Wolę zdychać ale nie prosić — dorzucił twardo.

— Człowieku co ty pleciesz? Przecież nie prosisz o żadną łaskę panów, przecież to od społeczeństwa dostajesz. Akcja Pomocy Zimowej jest akcją ogólną i artykuły jakie otrzymują potrzebujący pochodzą z darów całego społeczeństwa.

Tutaj niestrudzenie począł dalej opowiadać jak to u nich na terenie fabryki zbierali na tę akcję, jak każdy nawet najskromniej zarobkujący chętnie oddawał część dla tych, którzy nie mogą zarobić, wreszcie jak ładne wyniki dała ostatnio przeprowadzona zbiórka. Kiedy skończył i spojrzał na słuchającego zrozumiał, że dobrze trafił, że jeszcze trochę a przekona sąsiada zupełnie — złamie fałszywą dumę. Zresztą słuchajcie sąsiedzie — ciągnął — nie chodzi tu tylko o was samych ale i o wasze dzieciska. Przecież one chodzą ubrane, że pożal się Boże. Dwie najstarsze ostatni tydzień nie poszły do szkoły, bo nie miały w czym iść a pozostałe chodzą na pół nagie. Tak dalej być nie może. Czego wy się z nich doczekacie, jak tak dalej pójdzie?

Ostatnie argumenty widocznie trafiły do przekonania Walentego, bo wstawszy podziękował

sąsiadowi za dobrą radę, przyrzekając zarazem nazajutrz pójść pod wskazany adres.

Na drugi jednak dzień jakoś trudno mu się było zdecydować na zrealizowanie wczorajszego postanowienia. Tylko dzięki żonie, która nie dała mu tym razem spokoju, aż nie przyrzekł, że pójdzie — poszedł na ul. Matejki. Lecz i tu chwilę wytrwało aż zdecydował wgramolić się na wysoki parter i przekroczyć progi biura. W pokoju za biurkiem siedziała starsza, bardzo spokojna pani. Przybyłemu kazała usiąść i wysłuchała opowiadania jednym tchem wypowiedzianego. Kiedy skończył, pani uśmiechnęła się dobrotliwie, zapisała sobie Bartkowiaka adres, polecając przybyć za 3 dni ponownie.

Bartkowiak wychodząc z biura nie bardzo wierzył jej słowom: Nawet żałował, że w ogóle poszedł. Tak! — ponownie — myślał z goryczą Wieleż to razy słyszał to ponownie!

Po powrocie do domu opowiedział żonie pokrótce co załatwił i jakby już kładąc krzyżyk nad całą sprawą po obiedzie wyszedł jak zwykle do miasta. Następnego dnia ledwo dzieciaki powyłaziły z łóżek, jakaś pani przyszła odwiedzić Bartkowiaków. Zatrzymała się pół godzinki dużo pytała się a jeszcze więcej ciekawie rozglądała się po ubogiej izbie. Wychodząc zauważyła Bartkowiakowa, że coś pisała i zamiast wyjść na ulicę poszła do stróżki.

Minął trzeci dzień a Bartkowiak ani śnił iść do Komitetu. Mimo perswazji i błagań żony nie poszedł. Wieczorem tego dnia przyszedł sąsiad ponownie ciekaw co Walenty załatwił. Dowiedziawszy się jak dalece sprawa jest zaprowadzona z tryumfem zawyrokował.

— Ta pani co u was była to z wywiadu. Oni przysłali ją, żeby się przekonała, czy naprawdę jest tak jakżeście Walenty w biurze podawali. Idźcie jutro a na pewno coś dostaniecie — przekonywał.

Zachęcony słowami sąsiada, nazajutrz Bartkowiak poszedł. Za biurkiem siedziała ta sama pani, która na widok przybyłego uśmiechnęła się znowu dobrotliwie, kazała chwileczkę poczekać i wyszła. Nie trwało długo, powróciła z plikiem papieru. Chwilę jeszcze coś wypisywała i potem podając Walentemu jakieś kartki, rzekła: Ma pan tutaj kwitek na 4 ctr ziemniaków i 4 ctr węgla. Po odzież dla dzieci niech pan przyjdzie w piątek — do magazynu. Jeżeli będziemy mieć jakieś wolne miejsce i praca się znajdzie.

Walenty własnym uszom nie wierzył. Machinalnie odebrał podane mu kartki, dziękował kilkakrotnie i wciąż nie będąc pewien tego co usłyszał, przez drzwi wycofał się na korytarz a stąd na ulicę. Stojąc na chodniku oglądał się jeszcze za sobą. I wówczas wzrok jego padł na białą tablicę z czerwonym napisem: Miejski Komitet Opieki Społecznej. Teraz dopiero uprzytomnił sobie całą prawdę i jakby chcąc przekonać się o prawdzie usłyszanych słów zaglądnął do posiadanych kartek. Faktycznie — wyraźnie było napisane: Walenty Bartkowiak 4 ctr ziemniaków, a na drugiej 4 ctr węgla.

O ile tylko na to chora noga pozwoliła biegł Walenty z uciechą do domu. Nagle świat wydał mu się jakoś jaśniejszy, weselszy — ludzie bardziej rozpogodzeni. Mijając znajomych pierwszy im się kłaniał, głośno przy tym pozdrawiając. Do domu wpadł jak bomba i wymachując trzymanymi w ręku kwitami cieszył się jak dziecko. Żona nie widząc męża już dawno w tak doskonałym humorze, z początku z przerażeniem, później widząc papiery w ręku męża, domyśliła się prawdy. Szybko jednak cofnęła się do kuchenki, by nie pokazać dzieciom mimowolnych łez.

Rankiem następnego dnia poszedł Bartkowiak do stróżki pożyczyć wózek.

— A na co go potrzebujecie? zapytała ciekawie stróżka.

— Do pyrek i do węgla — odpowiedział z niekłamaną dumą, w której wyraźnie przebijała radość.

To była dopiero uciecha u Bartkowiaków jak pod wieczór w ciepłej izbie wszyscy zadowoleni i uśmiechnięci zasiedli do posiłku. Skromny on był co prawda, ale ciepły i w ciepłej izbie spożywany.

— — — — — —

Takich przemian — takiego cudu dokona złotówka wrzucona do puszki kwestarza. Wspólnym wysiłkiem otrzemy niejedną łzę, niejedną rodzinę uratujemy od rozbicia. Nie uchylajmy się od przykazania nie tylko społecznego, ale od — miłości bliźniego.

HENRYK KAMZA

WITRAŻOWNICTWO

ODRADZAJĄCA SIĘ DZIEDZINA POLSKIEJ SZTUKI

Kompozycja tematu i harmonizowanie elementów sztuki. — Od szkicu do patynowania. — Artyzm i rzemiosło. — O przemysł dla sztuki

Któż z nas nie odczuł prawdziwie głębokiego wrażenia piękna, patrząc na kompozycję witrażową, w której artysta ujarzmił i zharmonizował najgłówniejsze elementy swej twórczości — linię, barwę i światło? Witraż o banalnym temacie, nie posiadający potężnych efektów dekoracyjnych lub nie uwzględniający działania światła na szkło, nie tylko nie spełnia swego zadania, ale rozprasza skupienie i psuje architekturę wnętrza złym naświetleniem.

W sztuce witrażowej żaden element nie jest sam w sobie decydujący. Dopiero twórcza inwencja artysty, łącząca wszystkie w harmonijną całość, stanowi o wartości dzieła. Witraż — to okno. Na oknie zatrzymuje się pierwsze spojrzenie. Okno naświetla wnętrze, ubarwia je mozaiką kolorów, a ponadto samo jest tematem. Kompozycja witrażu nie jest więc łatwa, przeciwnie, stawia przed artystą wysokie wymagania. Musi on posiadać znajomość szeregu dziedzin, a więc: architektury, malarstwa dekoracyjnego, grafiki, musi być dalej dobrym kolorystą, znać się na szkle, ołowiu i cynie. Witrażysta to nie tylko artysta, ale w równej mierze i rzemieślnik. Praca związana z mechanicznym wykonaniem witrażu jest niemniej ważna od samej kompozycji. Projekt potraktowany tylko po malarsku, może ulec w realizacji zupełnemu przekształceniu, co w efekcie spowoduje wypaczenie właściwych zamierzeń artysty. Witrażystą w pełnym tego słowa znaczeniu jest więc tylko ten, kto potrafi witraże projektować i wykonywać na warsztacie.

Rozróżniamy trzy rodzaje witraży: tzw. muzywiczny — z różnokolorowych kawałków szkła, spajanych ołowiem, „en grisaille" — polegający na operowaniu linią i światłocieniem na geometrycznie przyciętych formach szkła oraz gabinetowy — wykonany przez wypalanie szkła i nakładanie różnokolorowej emalii, dzięki czemu otrzymuje się przeźroczysty obraz.

Pracę nad witrażem rozpoczyna artysta od wykonania szeregu małych szkiców, z których powstaje właściwy projekt zwykle w skali 1 : 10.

St. Powalisz — „Pokłon Trzech Króli" Projekt witrażu 1945 r.

Przyjęty przez klienta projekt zostaje przeniesiony na karton już w naturalnej wielkości i barwie. Odtworzenie projektu na kartonie wymaga oczywiście jeszcze wielu szkiców i studiów nad szczegółami kompozycji, pomijając już to, że samo rysowanie i malowanie monumentalnego witrażu zajmuje bardzo wiele czasu i jest połączone z dużym wysiłkiem fizycznym. Wykonanie dobrego kartonu to jedna z najważniejszych części pracy nad witrażem.

Z kartonu przenosi się projekt witrażu za pomocą kalki na gruby papier, a z niego wycina się następnie szablony, tzw. kalibry, pozostawiając między poszczególnymi częściami rysunku pasek 2 do 3 mm, jako miejsce na ołów. Szablony służą do wycięcia odpowiadających im ściśle form ze szkła. Czynność ta musi być wykonana nadzwyczaj akuratnie, gdyż od niej zależy trwałość i szczelność witrażu.

Sam dobór szkła ma ogromne znaczenie. Poszukiwane jest zwłaszcza „szkło antyczne" z różnego rodzaju skazami, załamującymi światło i wytwarzającymi piękne refleksy. Można dalej użyć szkło jednokolorowe i dwubarwne, czyli w środku białe a z wierzchu kolorowe, przy czym obie strony mogą być jednego lub różnych kolorów. Kiedy już starannie dobrano szkło i wycięto z niego kalibry, nakleja się je za pomocą plasteliny na dużej szklanej tablicy, otrzymując to samo zestawienie kolorów co na kartonie. Artysta bada kolory pod światło, sprawdza czy oddają właściwą barwę i refleks, a następnie przystępuje do patynowania czyli pociąga szybki szarą, matową farbą, przez co zyskuje mniejszą przejrzystość i wydobywa z całości witrażu jednolity ton.

W tak przygotowanych szkłach retuszuje się odpowiedni rysunek i maluje twarze, części szat, fragmenty ciała itp. Malowanie na szkle musi być wykonane z dużym umiarem gdyż w monumentalnym witrażownictwie może się ono często okazać zgubne.

Podmalowane szybki wypala się w piecu witrażowniczym. Posiada on szereg szufladek, w których na blachy posypane kredą, aby szkło nie przylepiało się od spodu, układa się szybki i zamknąwszy hermetycznie piec, zapala gaz. Proces wypalania trwa od 2 do 3 godzin. Obserwuje się go przez specjalny wziernik, naprzeciw którego umieszczona jest mała sztabka szkła. Kiedy zegnie się ona pod wpływem gorąca, to znak, że szkło zaczęło się topić z wierzchu i wchłonęło farbę, tworząc z nią jednolitą masę. Po ostudzeniu pieca, trwającym do 14 godzin, wyjmuje się już gotowe szybki. Nie zawsze jednak proces wypalania przebiega idealnie. Drobne usterki w ogrzewaniu powodują błędy, a wówczas wypalanie trzeba powtórzyć.

Kiedy cały zespół szybek został już wypalony, następuje ostatnia faza pracy — montowanie witrażu. Pojedyncze szybki otacza się taśmą ołowianą i łączy ze sobą, lutuje cyną, wreszcie między szkło i ołów wlewa płynny kit celem lepszego uszczelnienia. Witraż jest gotowy. Poszczególne jego partie trzeba jeszcze wmontować w okno, a całość zabezpieczyć tzw. wiatrówkami, czyli żelaznymi prętami od strony zewnętrznej okna.

Polskie witrażownictwo o wspaniałych tradycjach Wyspiańskiego, Mehoffera, o dużym rozgłosie poza granicami kraju, odradza się znowu z niesłabnącym rozmachem. Coraz silniejszą pozycję zdobywa w nim artysta-malarz Stanisław Powalisz z Poznania.

W przemyśle dla sztuki witrażowej istnieją pewne braki. Brak dobrych farb, a produkcja szkła antycznego przewidziana w planie trzyletnim znajduje się dopiero w początkowej fazie. Niemniej nowe witraże — owoc twórczej myśli naszych artystów, zapowiadają pełne odrodzenie i tej dziedziny sztuki.

J. TUŁ.

Stanisław Powalisz
Św. Salomea w kościele Franciszkanów we Wronkach w 1946 roku. Praca nie reprodukowana

Stanisław Powalisz
Stygmatyzacja św. Franciszka — klasztor Wronki — kościół Franciszkanów rok 1946

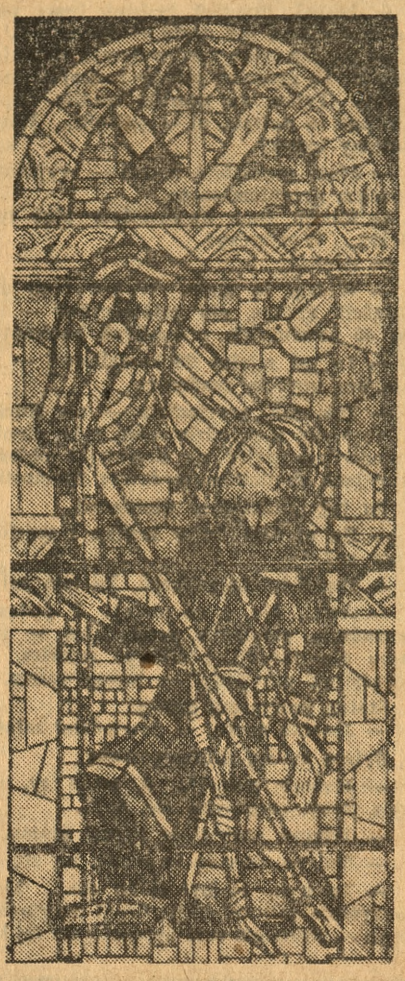

St. Powalisz — „Św. Hubert" — Patron Myśliwych Projekt witrażu 1946 r.

Kolęda wróbli

Ćwir! Ćwir! Bracia za szybą, wznieście smutne swe oczy!
W okna wasze pukamy my, wesołe przybłędy,
zanim Noc Noworoczna białą ziemię omroczy,
naszej wróblej świergotu posłuchajcie kolędy.

Po srebrzystych gościńcach, błędni szczęścia rycerze,
czar dzisiejszy wielbimy, ani dbając o jutro,
z Wiatrem, Deszczem i Mrozem zawarliśmy przymierze:
radość życia nas grzeją stokroć lepiej niż futro!

Precz więc smutki! — wołamy, króle podwórz i ulic,
ścieków, śmietnisk badacze, szarzy proletariusze.
Byle co zjeść możemy, byle gdzie się przytulić!
Wszyscy z nami się łączcie w tej radosnej otuszе!

Weźcie przykład z nas — świata wolnych obywateli!
Ukochajcie serdecznie wspólną nam Matkę Ziemię!
Cieszcie się, że ulicę lśniący, miękki śnieg bieli,
że wiąz błyska w gałązek brylantowym diademie!

Uczcie od nas się pilnie tej słonecznej radości,
co nam w pałac zamienia każde liche poddasze!
Uczcie się tej beztroski, której bogacz zazdrości:
przykazania świętego pól: co nasze, to wasze!

I nasypcie za okno okruszynek nam chleba
w imię Tej, co się w smutków dźwigła poniewierce,
bo z Nią, z Wielką Miłością przez gąszcz życia iść trzeba,
by nie zbłądzić i w świata gorejące zajść serce!

FRANCISZEK FENIKOWSKI

KAZMIERA TOPINSKA

Z „Trzema Królami" w pogawędce

„Stały na drzwiach skreślone
Trzech Króli imiona
Przy wejściu w drobnej czarce
woda poświęcona"

pisze Franciszek Morawski w „Dworcu Mojego Dziadka". Bo i Trzej Królowie mają tak i inne święta okresu Bożego Narodzenia — swoją tradycję.

„Pamiętnik naukowy" — wydany w Krakowie w 1839 r. pisząc o zwyczaju jedzenia ciast w uroczystość Trzech Króli i przy tym żartobliwego obierania w tym dniu króla i królowej mówi, że bardzo odległych sięga on czasów. Przyszedł do nas niezawodnie od Greków i Rzymian. U Greków był wybierany „Sympasiarchos Vasileus", u Rzymian „Rex modimperator".

Po miastach i wszechnicach niemieckich uczniowie i studenci wydawali uczty, większością głosów wybierając jednego spośród siebie na króla.

We Francji znów obiór takiego króla losem rozstrzygany bywał. W tym celu ukrywano w jednym cieście ziarnko bobu, a komu się takie ciasto dostało, urząd króla bobowego, „roi de la Fève" — przez cały rok sprawował.

A jak było w Polsce? Otóż według starych obyczajowców, dzień ten jak i poprzedzający go wieczór, szczodrym był dawniej zwany bo o tym czasie, najwięcej rodzice dzieciom, gospodarze czeladzi, możni sąsiadom, parafianie plebanom, rozdawali kolędy.

Gołębiowski mówi, że w dniu tym kadziono zwykle na ołtarzu złoto, mirrę i kadzidło, którę kapłan poświęcał, przydawano do tego i kredę, którą to na drzwiach pisano pierwsze litery imion: Kacper, Melchior i Baltazar, czyli K. M. B.

Ponoć król, Jan Kazimierz, miał zwyczaj w dzień ten ofiarowywać gatunek wszelki tego roku bitej monety. Inni, króla naśladując (jako że szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie) starali się o czerwono-złote dukaty, z wizerunkiem Najśw. Marii Panny, a kogo nie stać było na złoto, srebrne lub węgierskie trojaki z błogosławieństwem rozdawał potomstwu swemu. Również i złotem święconym określano szyję na ból gardła, kadzidłem i mirrą nakadzano domy, obory, bydło chore.

Wspomniany Gołębiowski pisze również o migdałowym królu:

„W domach, na końcu obiadu roznoszono ciasto, którego tyle sztuk było, ile osób przy-

tomnych, w jednym z tych ciast był migdał. Kto go otrzymał, ten królem zostając ofiarowywał piękny bukiet swej damie, królową ją mianując — a wszyscy pili ich zdrowie.

A Maria Estreicherówna w swym „Krakowie sprzed laty", dodaje: „W święto Trzech Króli, odbywał się gdzieniegdzie obchód króla migdałowego, ale przeważnie wśród stery szlacheckiej, podatnej na wpływy francuskie. Podawano więc tort i pączki z jednym migdałem, umieszczonym w cieście; kto go znalazł, otrzymywał tytuł królewski, dobierając sobie kogoś do pary i rozdając dworskie urzędy innym uczestnikom zabawy. Z natury rzeczy obrzęd ten nadawał się przede wszystkim na zabawy dziecinne, dorosłych bowiem Polaków, podobne rzeczy nie bawią, podczas gdy Anglicy i Amerykanie lubują się w rozrywkach tego rodzaju."

Inny znów historyk, a mianowicie Wójcicki powiada, że w Polsce grochowego króla wybierając cieszono się na biesiadę, którą ten król wyprawić musiał.

„Że święto Trzech Króli dało powód tej „migdałowej igraszce", nie potrzebujemy tego dowodzić — mówi Gołębiowski — nie sam wszakże religijny tu jest obyczaj, lecz familijny i narodowy poniekąd. Patryarchalne, zawsze dostrzegamy przodków naszych obyczaje — zbierała się więc cała gromada krewnych u najznakomitszego przedstawiciela rodu, spędzała u niego święta, kończąc stary rok i rozpoczynając nowy 6 stycznia, była zwykle ostatnia uczta familijna, którą ożywić chciano zabawą niewinną. Ciasta, w dawnych osobliwie czasach, ręką rodziny wyrobione, jej były zaszczytem i stawały się przez to milszymi i przyjemniejszymi. Zręczna gospodyni umiała nakierować losy, ażeby się migdał dostał temu, komu go przeznaczała, to najsędziwszemu, to najwaleczniejszemu, to najmilszemu z dzieci, to najszanowniejszemu z przyjaciół i tym samym członków i jakoby tej rodziny; to pannie, którą synową ujrzeć chciano, czasem gdy przewidywano trudność i lękano się, by wybór nie padł mniej właściwie, wszystkie ciasta były z migdałami, lecz słowo dano sobie to ukryć, a pilnować i okrzyknąć umówionego tylko."

W związku z tym „królem", był jeszcze zwyczaj, że nań obrany, pierwszą u siebie taneczną wyprawiał zabawę i tak zaczynał się karnawał.

Filozoficzna zagadka kalendarza

Gdy w historii świata „zabrakło" 10 dni

Czy każdego dnia, w każdym miesiącu musi się coś dziać?

Tak.

Co działo się w Polsce między 4 i 15 października 1582 roku?

Nic.

Co działo się we Włoszech, w Hiszpanii i w Portugalii między 4 i 15 października 1582 roku?

Nic.

Co działo się we Francji między 9 i 20 grudnia 1582 roku?

Nic.

Co działo się w Holandii między 21 grudnia 1582 roku i 1 stycznia 1583 roku?

Nic.

Co działo się w Anglii między 2 i 13 września 1752 roku?

Nic.

Dlaczego?

W Polsce, we Włoszech, w Hiszpanii i w Portugalii w 1582 roku nie było dni od 4 do 15 października. We Francji nie było w tym roku dni od 9 do 20 grudnia. W Holandii nie było w tym roku dni od 21 grudnia do 1 stycznia roku następnego. W Anglii w roku 1752 nie było dni od 2 do 13 września.

Na mocy bulli Grzegorza XIII z dnia 1 marca 1582 roku dzień 5 października został w roku tym w Polsce, we Włoszech, w Hiszpanii i Portugalii nazwany dniem 15 października. Na mocy edyktu Henryka III dzień 10 grudnia 1582 roku we Francji został nazwany dniem 20 grudnia. Na mocy aktu z roku 1750 w Anglii dzień 3 września 1752 roku został nazwany dniem 14 września 1752 roku.

Ile wynosi długość średnia roku w kalendarzu gregoriańskim?

365.2425 dnia.

Jaka jest różnica między rokiem zwrotnikowym a gregoriańskim?

Gregoriański dłuższy jest o 0.0003 dnia.

Jaka jest dokładność gregoriańskiego kalendarza?

1 dzień na 10.000 lat.

Ile lat żyje baobab?

5.000 lat.

Marian Berson

BOGDAN BRZEZIŃSKI

Straszna przygoda

Gdy wszedłem do kawiarni, od razu spostrzegłem Stefana. Siedział przy stoliku z ponurą miną. Przed nim stała niedopita kawa.

— Serwus! — zawołałem pogodnie. — Co słychać?

Spojrzał na mnie niechętnie.

— Czego się wygłupiasz?... — mruknął. — Co może być dobrego słychać?

— No, jednak mogło się zdarzyć tobie coś przyjemnego, prawda?

— Mnie?... Człowieku, ja mam przeraźliwego pecha! Właśnie nie dalej niż wczoraj tu, w tym lokalu, wydarzyła mi się straszliwa przygoda!

— Co ty mówisz? A co się stało? Udławiłeś się kawą?...

Wzruszył ramionami.

— Coś o wiele gorszego! Ale jeśli chcesz, mogę ci wszystko dokładnie opowiedzieć.

— Oczywiście, umieram z ciekawości!

— Więc posłuchaj. Siedziałem tutaj wczoraj przy tymże samym stoliku. Właśnie zastanawiałem się głęboko nad zagadnieniem, skąd wyrwać ze trzysta złotych na obiad, gdy nagle we drzwiach ukazał się popularny wydawca pan W. i z radosnym uśmiechem na twarzy ruszył żywo prosto w moim kierunku.

— Jak to świetnie, że pana spotykam! — zawołał. — Mam trochę zaoszczędzonego papieru i chciałbym wydać jakąś dobrą powieść młodego autora. Jak pan stoi ze swoją powieścią, o której pan mi kiedyś wspominał?

— No, za dwa, trzy miesiące skończę — odparłem niepewnie.

— Znakomicie! Zamawiam tę powieść! — zawołał pan W. — Ile pan chce zaliczki?

— No, pięć... — mruknąłem, rumieniąc się.

— Pięćdziesiąt? Doskonale! Zaraz panu wypiszę czek!...

Wypisał czek, uścisnął mi mocno dłoń i wybiegł z kawiarni. Jeszcze nie zdążyłem ochłonąć ze zdumienia, gdy wszedł księgarz Pikuliński.

— Uszanowanie panu, mistrzu! — powiedział. — Czy drogi mistrz nie ma przypadkiem jakiegoś tomiku nowel? Chętnie bym wydał.

— Jakto? Przecież tydzień temu pan mówił, że nowel nikt nie czyta — wtrąciłem.

— Eh, tak tylko żartowałem!... Czytają, czytają, panie! To przecież piękny rodzaj utworu literackiego? Tylko, że nowelę trudno napisać. No, ale pan to potrafi, o! — potrafi!... Więc ma pan gotowy tomik?

— Mam piętnaście nowel — wyjaśniłem z radosnym drżeniem serca.

— Biorę! Dam dwadzieścia pięć tysięcy zaliczki... Wystarczy?

— Ależ...!

— Widzę, że mało. Wobec tego dam czterdzieści! Proszę, oto gotóweczka! — i wyliczył mi 40 nowiutkich, przemiłych banknotów.

— To już miałeś 90 kawałków? — wtrąciłem nie bez uczucia zazdrości.

— Tak, tak, przyjacielu — ale słuchaj dalej! Zdobywszy niespodziewanie tyle pieniędzy, postanowiłem pójść na królewski obiad. Ale w drzwiach spotkałem wydawcę Mamrotka...

Tu już przerwałem Stefanowi.

— Ile ci dał? Mów krótko i węzłowato! Ile i za co?

— Dwadzieścia zaliczki. Za tom satyr...

— Aha... No i co dalej? I potem pewnie wszystkie pieniądze przehulałeś w jedną noc, albo cię okradli, i dlatego mówisz, że miałeś straszliwą przygodę? — indagowałem.

Stefan potrząsnął głową.

— Jeszcze gorzej — powiedział żałośnie.

Byłem mocno zaintrygowany.

— Jeszcze gorzej?... A może ty, zdobywszy tyle forsy, zaręczyłeś się, co?...

— Jeszcze gorzej! — jęknął Stefan.

— No, to mów-że wreszcie, co się stało?

— To był... to był tylko sen... Mnie się te wszystkie zaliczki śniły, drogi przyjacielu! I dlatego — straciłem całą sympatię do tej kawiarni!...

— Czy nie ma łaskawa pani 20 zł dla biednego na obiad?
— A czy chleb nie wystarczy?
— Tak, ale dziś jest Sylwester i chciałbym go godnie uczcić.

Zna się na formach

która z pań jest prezesową Bogacką!

Trzej królowie

Z teki karykaturzysty

Zygmunt Noskowski — artysta Państw. Teatru Polskiego

Z satyry politycznej

Kogucie, kogucie ptaku pięknej Galii
Będziesz miał dolary, złota całe wory
Lecz łapkę daj i bądź mi skory
A wtedy nazwę cię moją de Gaulle'ią.

Noworoczne uwagi

Sylwester jest nie tylko świętem Sylwestrów, ale wszystkich ludzi, którzy są tacy naiwni, że cieszą się nie wiadomo dlaczego i w jakim celu. Ażeby wzrok stał się „różowy", leją do żołądków pewną ilość likieru, koniaku, czy nawet najzwyklejszej wódki i mają nadzieję, w związku z czym składają sobie nawzajem życzenia. Tak już było i tak będzie bez względu na systemy rządzenia, o podziały ludzi, dopókąd czas będzie się dzielił na lata.

Wszyscy, jakby się zmówili, spodziewają się czegoś dobrego, a najwięcej spodziewa się szary człowiek. Spośród szarych ludzi zaś najwięcej spodziewa się urzędnik, który będąc nieco niekonsekwentny, liczy równocześnie na podwyżkę pensji i obniżkę artykułów pierwszej potrzeby. Ażeby zaś dać temu wyraz, narzeka na rok ubiegły i z niecierpliwością oczekuje dwunastej godziny, aby choć skromnym toastem powitać „noworodka", ponieważ woli go sobie nie zrażać, bo to nigdy nic nie wiadomo.

Jeżeli w dodatku ten szary urzędnik jest żonaty, nadzieje jego są wielorakie. Wzdycha, ale to już po cichu, aby jego żona wreszcie zrozumiała, aby przestała nazywać go „fajtłapą" i aby przestała dawać mu za przykład tych wszystkich, którzy żyją z prywatnej inicjatywy. Ale ponieważ tych nadziei byłoby jeszcze mało (są one odwrotnie proporcjonalne podobno od wysokości pensji(, marzy sobie, żeby tak jego połowica odstąpiła od pierwotnego zamiaru kupna sobie nowego kapelusika, bo skąd on u licha weźmie na to pieniędzy. A może — może w styczniu dadzą jeszcze trzynastą pensję i podwyższą dodatek na żony do najmniej pięciu tysięcy miesięcznie. Tu przychodzi mu na myśl, że te dodatki rodzinne ustalali chyba ludzie nieżonaci, albo... rozwiedzeni (ci nauczeni doświadczeniem, że kobiecie nie należy dać za dużo, bo jej się w głowie przewróci).

Dosiego Roku! — życząc kupiec z prywatnej inicjatywy, będzie życzył przede wszystkim sobie zmniejszenia podatków i... powiększenia dochodów. Człowiek już jest takim niekonsekwentnym stworzeniem.

Kobieta, marząc o lepszym nowym roku, będzie miała na myśli nową sukienkę, nylony, czy kostium, łudząc się znowu, że albo ceny spadną, albo się jakiś cud stanie i mąż stanie się zaradniejszym. I jeszcze jedno: od pierwszego stycznia będzie rozpowiadać wszystkim znajomym na lewo i na prawo (czyli bez względu na przekonania polityczne), że jest o rok młodsza, w co i tak nikt nie uwierzy.

Mój przyjaciel znowu, który żyje już na świecie sporo lat, niezmiennie co roku powtarza mi, że ma jedno życzenie: aby Nowy Rok był co miesiąc, bo wtedy można się napić za darmo. Bo podobno w tym dniu nikt nikomu nie odmawia kieliszka wódki tak, jak nikt nikomu źle nie życzy.

Słowem nie ma człowieka, który by się czegoś dobrego nie spodziewał po nowym roku. Po nowym roku, czyli po urzędach mieszkaniowych, po komisjach cennikowych, tramwajach, kolejach, polskim filmie, radio i innych instytucjach użyteczności publicznej. Te zaś instytucje, ażeby zrobić ludziom nadzieję, mówią, co zrobiły w ciągu roku, co mają zamiar zrobić w ciągu nowego roku, ale nie mówią o tym, co miały zamiar zrobić, ale czego nie zrobiły. Bo po co?

Każdy się czymś łudzi, każdy się czegoś spodziewa. Ponieważ my też, więc życzymy sobie nawzajem „Dosiego Roku"!

TAD. M.

pod kierownictwem Wł. Lubnaara i R. Miałkowskiego

Rozwiązania zadań „Jesiennego Turnieju Zadaniowego" (w nawiasach ilość głosów, które padły na poszczególne zadania w Konkursie Autorskim):

1. Telegram obrazkowy (10): „Gwałtowne burze oczyszczają powietrze", wyrazy pomocn.: igła, waga, pół, antyk, okowy, ankier, Ob, czub, broń, zwierz, owoce, czyżyk, osa, wzór, cenzura, jaje, pąk, opad, obuwie, imperator, reszka, es. 2. Wichrzyciel-szarada (7): „Ko-ron-ka ba-bie-go la-ta". 3. Złota jesień—szarada (2): „U-rok je-sie-ni". 4. Rebus (10): „Wszelako mediator, bywa, także nie ma racji" (w-Szela-komedia-torby-wata- „k" żenie—mara—c—j—i). 5. Październik—szarada (18): „To u-rok ko-lo-ro-wej jesie-ni". 6. Rebus (4): „Duch przekory to wada niekiedy szkodliwa" (duch prze koryto-w „a" danie-„k" je „d"-y-szkot-li-wa). 7. Poznaj swój kraj—szarada (11): „Sta-ro-pol-ska o-ko-l-ica". 8. Mozaika (14): I. Żołnierzom Wojsk Polskich, poległym na wszystkich frontach świata, Cześć i Chwała! II. Milionom ofiar Oświęcimia i setek innych obozów koncentracyjnych — Cześć i Chwała!

Wykaz uczestników „Jesiennego Turnieju" (w nawiasach ilość prawidłowo rozwiązanych zadań): **Bielsko:** Niemcowa D. (6). **Budzisław:** Urbaniak M. (3). **Chełmża:** Zaborowski Cz. (5). **Glinik Mariamp.:** Psarska Z. (8). **Kościan:** Pruska W. (3) **Kraków:** Sułowski Z. (8). **Łobez:** Alenowicz W. (2). **Łódź:** Bielski L. (8). Boruciński L. (5). Dąbrowski A. (7), Janaszkiewicz H. (4), Janowski I. (7), Jeske Z. (8), Karlicki E. (7), Krawczyk A. (6), Malański L. (7), Michalak H. (5), Milczarek J. (7), Nowaczyk M. (1), Rybacki B. (5), Salm A. (7), Sagatowska M. (8), Salm I. (8), Świderski E. (8). **Ozorków:** Maziarz J. (3), **Pabianice:** Bujko M. (8), Kołacz E. (7), Stefańczyk J. (7), Zwolski Z. (4), **Poznań:** Bonicki S. (2), Cyzewski H. (1), Frączkiewicz Z. (3), Jakubas P. (1), „Jark", Skowerowa H. (4), Sobkowska St. (1), **Sosnowiec:** Rudzki K. (7), **Szczecin:** Layman K. (7), Prawdzicowa J. (7), **Srem:** Talarczykówna M. (1), **Warszawa:** Grójnacki E. (8), Wołoszyńska W. (4), **Żnin:** Czabański J. (1).

ODPOWIEDZI REDAKCJI: Ryszard Strzałek, Łódź. Prosimy zgłosić się po odbiór nagrody. **Adamski Marian,** Poznań: Dziękujemy za zadania. Wykorzystamy. **„Emjot",** Ozorków: List otrzymaliśmy. Brakujące numery wysłaliśmy.

I to się zdarza, gdy brak kucharza

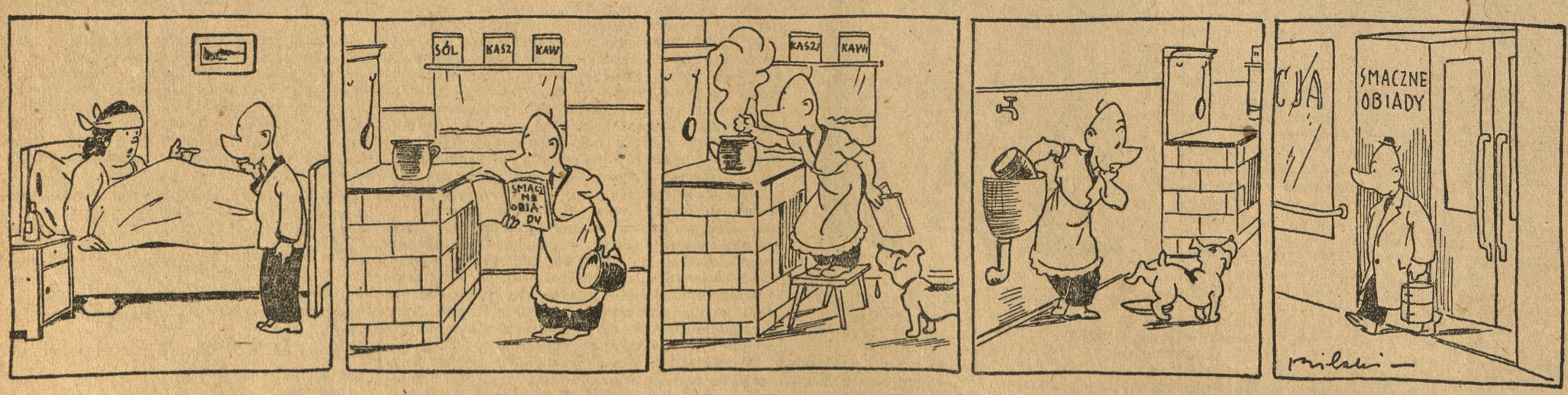

Żona dzisiaj leży chora,
Śliwka martwi się nieborak

Bez jedzenia żyć się nie da —
Obiad ugotować trzeba.

Trzy godziny przeszło prawie
Obiadową warzy strawę

Wnet do zlewu ją wyleje
Bo pies nawet — zupy nie je.

Lepiej bracie, bez turbacji
Przynieść obiad z restauracj.